



Wielomówstwo.

O dawnych Polakach pewien pisarz powiedział, że oni połowę życia swego tracili na... wypowiedanie mów i próżne gadanie. Słowa te chyba z większą jeszcze słuszością można zastosować do naszych czasów. I w istocie, spojrzymy dokoła nas — cóż my widzimy i słyszymy? Oto ludzie ciągle tylko mówią, gadają i rozprawiają. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mówić trzeba, zwłaszcza w takich czasach, jak nasze, kiedy ważą się częstokroć losy społeczeństwa i narodu. Ale cała bieda na tem polega, że my najczęściej nie umiemy miary zachować i albo mówimy więcej, niż potrzeba, albo mówimy nie wówczas, kiedy potrzeba, albo — co najczęściej znowu się zdarza — mówimy tylko tak, aby mówić, dla samego gadania, z którego potem albo bardzo mało, albo zgoła nic, albo co gorzej, złe jakie wychodzi.

Jest to jedna z licznych wad społeczeństwa naszego, z której koniecznie powinniśmy się poprawić, jeżeli chcemy naszego dobra.

Pismo Święte przestrzega nas:

„Wielomówności nie będzie bez grzechu...“ (Przyp. X. 19), bo gdzie wiele mó-

wią ludzie, tam najczęściej swary, kłótnie, gniewy, obmowy, oszczerstwa, sprośne mowy i inne grzechy, a już zawsze — zamieszanie.

Ale gdybyśmy nawet i unikali tych grzechów, towarzyszących zwykle wielomówności, to już samo przez się wielomówstwo jest grzechem, bo jest ono marnowaniem drogiego czasu.

Duch św. w Piśmie św. tak radzi: „Człowiek mądry będzie milczał aż do czasu słusznego“ (Ekkł. XX. 7). Trzeba więc pamiętać i o tem, że w mowie naszej powinniśmy kierować się jaknajwiększą roztropnością i uważać pilnie kiedy i co i wobec kogo mamy mówić.

A ileż to razy, zapomniawszy o tej roztropności, mówimy wobec całego niemal świata o tem, o czem należałoby nam mówić tylko między sobą.

A w ten sposób rozprawiając o naszych sprawach zbyt już szczerze nawet wobec naszych nieprzyjaciół, czyż nie narażamy najistotniejszych naszych interesów i czyż nie wyrządzamy częstokroć wielkiej i niepowetowanej szkody nam samym? Dlaczego tak postępujemy? Bo w naturze naszej, a raczej w złym nałogu, leży to, że potrzebujemy koniecznie wygadać się!... choćbyśmy mieli przez to

siebie wystawić na pośmiewisko świata i wrogów i ojczyźnie zaszkodzić!

Wielomówstwo jest złe i dlatego jeszcze, że tak już zazwyczaj między nami bywa, iż kto dużo mówi, ten... mało robi. A jednak kiedyż więcej, jak nie w naszych czasach i w naszych warunkach potrzeba nam nie samych słów, nie mów próżnych, nie gorszących sprzeczek i wąsni, ale jaknajwięcej czynów dobrych, szlachetnych i bezinteresownych dla dobra kraju i wspólnej naszej sprawy?

Patrzmy naprzykład choćby na Japończyków. Ten dzielny naród, który dziś podziwia świat cały, jakże mało jest on znany ludziom, jak mało mówi o sobie, jak daleki jest od samochwalstwa, ale natomiast jak wiele on robi dla szczęścia swojej ojczyzny, jak jest dzielny i potężny!

Czy ci Japończycy nie są godni naśladowania zwłaszcza przez tych wszystkich, którzy jakby za zadanie postawili sobie — dużo mówić, a mało robić!

Wielomówność chodzi zwykle w parze z bezmyślnością, gdyż mówiąc dużo, niepodobna jest o wszystkim tem myśleć, co usta wypowiadają. I człowiek przez to się przyzwyczaja do gadaniny na oślep i do braku rozwagi.

Często spostrzegamy u dzieci zupełny brak namysłu i wszelkiej dokładności w wykonaniu jakiegokolwiek pracy. Nazywamy to bezmyślnością, ganimy ją i karciemy, karzemy nieraz, ale pocieszamy się, że z wiekiem nabędzie dziecko rozwagi, stanie się poważniejsze i stateczne.

W okresie szkolnym bezmyślność dzieci wielką jest przeszkodą w pracy zarówno dzieciom, jak i nauczycielom. Dlatego pedagogia coraz to nowe ustanawia metody i systemy, których celem jest pobudzić dziecko do myślenia. Dobry i zdolny nauczyciel zmusza nieustannie uczniów do zastanawiania się nad każdym przedmiotem, każdym zjawiskiem w przyrodzie. Skoro obudziliśmy w dziecku myśl zastanowienia, ułatwiłszy mu nie tylko naukę samą, ale daliśmy mu w rękę środek potężny, ułatwiający mu niezmiernie życie.

Człowiek myślący bowiem żyje życiem

szerszem, głębszem i doskonalszem, nie przesuwając się po powierzchni życia, lecz pojmując gruntownie obowiązki swoje względem siebie i drugich.

Badając pilnie bieg życia ludzi wybitnych, spostrzegamy u nich wyraźnie głębszą myśl nawet w rzeczach małych.

Starożytny mędrzec i nauczyciel greki Sokrates uczył swych młodych słuchaczy, że boską jest rzeczą jak najmniej potrzebować i tym sposobem nakłaniał ich do prostego sposobu życia, co było ogromną zasługą w owych czasach, gdy w ojczyźnie jego panował szalony zbytek i chęć używania.

Staszyc i Lelewel, obydwaj ludzie znakomici, stanowiący chlubę naszego narodu, uważali sobie za najprzedszy obowiązek oszczędność posunąć do ostatnich granic. Żyjąc w ubóstwie i prostocie, zebrał Staszyc znaczny majątek, który przeznaczył na oświatę ludu, Lelewel zaś olbrzymią pracowitością doszedł do głośnej sławy i zdobył wdzięczność całego narodu.

Kierujmy dzieci na ludzi myślących — w tem się zamyka cel i treść wychowawczej pracy. Myślący człowiek jest szlachetny, wyrozumiały na wady bliźnich, wybaczący urazy, zawsze skory do poświeceń. Myślący człowiek zawsze siebie nisko ceni, zawsze dąży do postępu, do udoskonalenia.

Bezmyślność jest jedną z wad właściwych kobietom i wiele przynosi szkody. Kobieta bezmyślna zawiera związek małżeński bez namysłu, często bez miłości. Obowiązki swoje traktuje lekko, powierzchownie, nie dba o to, aby miłość męża zachować. A gdy przyjdzie chwila pokusy, bezmyślna kobieta jakże łatwo ulegnie i zbłądzi! Nie myślała po prostu, że droga grzechu tak stroma jest i ślizka, że jedna chwila słabości zniszczy może szczęście całego życia. — Bezmyślnością małżonków wytlómaczyć można wielką liczbę rozwodów.

Bezmyślność nie jest tylko wadą — jest nieszczęściem.

W imię Boże!

Zginęły mrozy, spłynęły lody,
w rzekach swobodnie szumią już wody,
i śnieg gdzieś zginął, co bielił pola,
posiewu czeka uprawna rola.

Zimny spokojnej kawał był długi,
zładował każdy brony i pługi,
i nie próżnując w czasy zimowe,
rolnik swe statki ma dziś gotowe.

Przelotne ptaki calutką zgrają
z gorących krain do nas wracają;
już się zajęły wróble gniazdami,
pocziwe ptaki! i w mrozy z nami.

Bydełko nasze też rade wiosnie,
krówka w oborze ryczy radośnie,
zimowa strawa teraz ją kole, —
czekaj! pastuszek pogna cię w pole.

Lecz, mimo wiosny, w calutkiej wiosce
rolnik się oprzeć nie morze trosce
i zamyślony przy pracy chodzi:
kto zboże kupi, choć się urodzi?

Kupiec za zboże dziś marnie daje,
niechętnie bierze. Serce się kraje...
Lecz rąk opuszczać nam się nie godzi, —
nie grzesz, człowieku, niech się urodzi.

Na chwałę Bożą złóż coś w ofierze,
Najświętszej Pannie pomódl się szczerze,
i pracuj dalej, a miej na względzie:
za pracę zacną nagroda będzie!

Wojciech z Miłosny.

Przebaczenie.

Bracie! gdy ci kto wyrządzi
Jaką krzywdę czynem, słowem,
Pomnij, że Bóg nas osądzi
W przyszłym życiu zagrobowem.

Gniew, co w sercu twojem gości,
Płomień zemsty w duszy nieci,
Na ołtarzu złóż miłości,
Bo Bóg patrzy na swe dzieci.

Bo On widzi, On przenika
Twoje myśli i zamiary —
Czy to godzisz w przeciwnika,
Lub się boisz niebios kary.

Bo dlań skrytość nic nie znaczy,
Jasno widzi duszę twoją:
Ten Mu miły, kto przebaczy,
Kto daruje krzywdę swoją.

A więc bracie, jeśli miota
Tobą gniew, za przewinienie,
Pomnij, że to wielka cnota:
Winowajcom przebaczenie!

Płaszcz Judaszowy.

Kiedy Judasz dał pocałowanie Panu
Jezusowi, odszedł sobie zdala od gaju i
myślał:

— Oby mnie jeno nie oszukali, a wy-
płacili jako się godzi, one 30 srebrników.
Nie będę miał biedy: kupię sobie kawał
ziemi i będę gospodarzył jako i drugi!

Aleć w tejże samej chwili usłyszał
krzyki, które z miasta Jerozoliny dolecia-
ły aż do onego gaju. A skoro je usłyszał,
zaraz mu w piersiach coś zakołatało. Tak
tedy zamroczył się i szedł, rozmyślając
chwilkę. Ale uśmiechnął się zaraz i rzekł:

— Głupi jestem!... czegoż się mam
markocić? Pieniądze będę miał, złem też
nie zdziałał... Toć ten Galilejczyk ludziom
do cna w głowie przewracał, prorokiem
się być mienił... jeno patrzeć, toby głupi
naród królem go ogłosił, a bodaj z Bogiem
na równi postawił...

A tak myśląc sobie, Judasz szedł w
gaj, czy z gaju, boć nie wiedział zgoła, w
którą szedł stronę. Księżyc świecił na nie-
bie i jasno było jako w dzień, a przecie
Judaszowi mrowie chodziło po ciele i stra-
chy go poczęły ogarniać.

— Zeby też jaki człowiek, albo i je-
szcze boskie stworzenie... raźniejby jakoś
było! — pomyślał.

A zaledwie pomyślał, zjawił się z si-
wą brodą człek, suchy, jako ten wiórek,
co z niego wszystkie soki wypilo. Szedł

zgarbiony, podpierając się kijem, a pod płaszczem coś ciężkiego dźwigał. Aż kiedy przyszedł do Judasza na trzy kroki, rzucił mu skórzany wór, a splunawszy, odwrócił się i uchodził, jako przyszedł.

Judasz pochwycił wór i wyrzucił z niego kupę pieniędzy. Były to same nowiuśkie talary, albo dukaty! Świeciły też jakoby płomień najcieńszy. Judasz aż oczy ręką zasłaniał, bo mu się zdało, że oślepnie.

Trząśnięcie też na całym ciele z wielkiej chciwości, a co dotknął który talar, to dmuchał w palce a wołał:

— Toż ci gorące, jakby je prosto z ognia wyrzucił!...

Przeliczył jednak co do jednego.

— Nie oszukali, akurat trzydzieści! — rzekł sobie.

— Za taki pieniądz nie głupim ziemi kupować, założę handel jaki w mieście i będę sobie pan jako i drugi.

Wtem doszły go krzyki wielkie z miasta Jerozolimy.

— Takim kawał ubiezał, a tak słychać te wrzaski, jakby tuż pod miastem — myślał sobie, przywiewając mieszek z owymi pieniędzmi.

A ręce mu tak dygotały, że ledwie mógł sznurek zadzierzgnąć... Zarzucił też płaszcz na głowę i biegał co tchu, żeby jak najdalej uciec, a od innych gwarów z Jerozolimy się ustrzedz. Ale gdzie tam! Nie byli to też zwykły gwar mowy ludzkiej, jeno jako wycie najdzikszych bestyj, albo szum wichury, co trzęsie borem, kiedy mu wiatr gałęziami pomiata.

A rozchodziły się te wrzaski nie tylko do gaju za Judaszem, ale bodaj po całuskim świecie. Bo jako powiadają, w onej godzinie kędy tylko jaki człowiek, albo i nieme żyło stworzenie, wszystkich niepokój ogarniał... Nie wiedziano co to, ale każdy się oglądał i czuł, że coś straszliwego dziać się musi... Ale do uszu Judaszowych doleciało:

— Ukrzyżuj! Ukrzyżuj!

Wzdrygnął się i począł dygotać jakby go zimnica ogarnęła. Coraz to się płaszczem otulał a biegał i biegał... Aż nie-

toperz przeleciał i uderzył go suchym skrzydłem po licu. Sowy też i inne ptactwo nocne poczęło się nad nim zbierać, hukać, a dzioby wyciągać, jakby jeno, jeno go miały rozedrzeć.

Aż Judasz pociągnął znowu połę płaszcza i twarz sobie osłonił. A księżyc świecił coraz jaśniej, świecił i patrzył na świat z wysokiego nieba, jeno gwiazdy powolutku gasły. Aż i kur gdzieś zapiał, i zaraz mu inne odpowiedziały, jeden po drugim... Ale Judasz nie widział ani jasności księżycy, ani gwiazd znikających, nie słyszał też i piania kogutów, jeno leciał na oślep, jakby go kto gonił, albo i najcieńszym batem podcinał.

A podczas tego i na niebie zorze przedświtywać poczęły, a na skłonie tak zaczerwieniło, jakby pożar wielką lunę rozesłał...

— Judasz! Judasz! — ozwało się dokoła wołanie.

Judasz przystanął i połowę płaszcza z twarzy odrzucił. Aleć nie było to wołanie jak brat brata, albo przyjaciel przyjaciela okrzykuje, jeno wrzaski, jako gdy dziką bestyę albo i psa wściekłego pędzą. A i kamień też jeden i drugi koło Judasza przeleciał. Zmiarkował też, że nie tylko że się od Jerozolimy nie oddalił, ale wszedł prawie w śródmieście...

Wreszcząc i krzycząc, szło tylu ludzi, jak jeszcze oko jego nigdy nie oglądało. A między onymi szedł Jezus, dźwigając krzyż i pod krzyżem ku ziemi pochylony.

I oto z każdego włosa Jezusowego spadał pot krwawy, bo miał koronę z cierńnią uwitą, a ostrymi kolcami w głowę wtłoczoną... Ale ci, co szli za Jezusem, nie na ów pot nie zważali, jeno przynaglając, żeby podążał, krzyczeli.

— Boć nam już i sabat nadchodzi.

Pieniądze, które Judasz miał w miešku, tak go krzypiekły, że jakoby wewnętrzności mu przepaliły... Takci jeszcze prędzej biec zaczął, aż się ujrzał przed świątynią, gdzie cała żydowska starszyzna zasiadła. Ale go do tej świątyni nie wpuszczono i drzwi żelaznym drągiem zaparto. A tu go coraz więcej mieszek pali;

zęby mu szczękają jako kły wilcze! Wargi też mu się spiekły na węgiel i zczerwieniały.

Tak tedy, nie wiele już rozważając, rzucił ów mieszek z pieniędzmi i począł biedz na oślep, jako wprzód.

Słońce wzbilo się a grzeje, ale nie złotem przyświeca, jeno czerwoną kulą, jakby je kto krwią zalał. Judasz tak się zatknął, że nie może ruszyć dalej. Stał tedy na chwilę i rozejrzał się, ale wzdrygnął się cały.

Na wysokiej górze na Kalwaryi, stoją trzy krzyże, a na najwyższym przybity Ten, którego wydał. A w tejże godzinie niebo się zaciemniło, że i brat brata by nie poznał. Jeno tam koło głowy Ukrzyżowanego, jaśniało światło promienną jasnością. Huk się też w owej godzinie wznosił straszliwy, jakoby się cała ziemia zatrzęsała, a niebo na nią piorunami rzucało.

Judasz biegał bez pamięci, a im więcej się oddalał, tem bardziej one trzy krzyże stały mu na oczach, a jeden z pomiędzy nich największy. Ile ubiegał drogi, sam nie wiedział; nie wiedział też zgoła, dokąd dobiegał. Paliło go wciąż na duszy, a język zesechł jak szczypa. Rzucił się pod drzewo, ale i ono nad nim zmiłowania nie miało. Liście z niego nie wiedzieć gdzie się podziały w onej godzinie, gałęzie suche szeleściły, a szeleszcząc wołały:

Zdrajca! zdrajca!

Aż Judasz, odwiązawsy sznur, którym był opasany, zrobił dużą pętlę, wetknął w nią głowę, a w końcu wysoko na suche gałęzie zarzucił.

Noc się zrobiła tak czarna, jakoby zamiast nieba, piekło nad ziemią zawisło. A ptaki żarłocznie poczęły krążyć koło onego suchego drzewa, kracząc, jako kiedy się na żer zwołują.... A płacz Judaszowy się rozwiewał i pośród mgły nocnej czerwienią krwi odbijał....

Odtąd, gdy mgły wiosenne w dzień męki Jezusowej osiadają nad matką zie-

mią, widać w owych mgłach czerwone smugi o wschodzie i zachodzie słońca.

ZŁOTE ZIARNKA.

Rozumu trzeba mieć choć trochę, ale pocziwość powinniśmy mieć całą; bo pół pocziwości, to — pół łotra...

— o —

Nie każdy będzie w niebie, kto woła: O, [Panie!
Ale z tych pewno żaden, kto wołać prze-
[stanie.

— o —

Małe nie jest małe, kiedy się z niego wielkie rodzi.

— o —

Czem dla dziecka jutro, tem dla starca wczoraj.

— o —

Są łzy, co w duszy jak ognie palą,
Są serca, co się nikomu nie żalą,
Są smutki, których już nikt nie pocieszy,
Są winy, które Bóg tylko rozgrzeszy,
Są krzywdy, którym nie dano sędziego,
Gdy więc kto cierpi — nie pytaj: „Dla-
czego?“ —

— o —

Oby na miejsce cudzoziemskich strojów,
Wróciły szaty staropolskich krajów!

— o —

Czyń to, co ci poczucie prawdy i obowiązku nakazuje i bądź spokojny, ufając Temu, który kieruje obrotem planet w przestrzeniach.

Rady gospodarcze.

Sadzenie drzew owocowych krzaczastych.
Drzewa owocowe krzaczaste są na dwa sposoby w ogrodach prowadzone; pierw-

szy sposób prowadzenia znany pod nazwą „drzew karlowych“ już jest u nas od dość dawnego czasu rozpowszechniony, pomimo, iż hodowla takich drzew wskutek dość nieprzyjawnego klimatu i niedość specjalnego traktowania przedmiotu, więcej w ujemnych aniżeli dodatnich rezultatach się przedstawia.

Drugi sposób prowadzenia drzew owocowych, pod nazwą „drzewa owocowe krzaczaste“, od niedawna się do nas przedostał. Czy te drzewa nam więcej pożytku przyniosą od drzewa piennych i karlowych, to przyszłość dopiero wykaże. W każdym razie, o ile hodowla tych drzew, będzie taka, jak w większości wypadków są drzewa u nas traktowane — tych samych możemy się po nich wyników spodziewać, jakie mamy z drzew karlowych. Różnicy pomiędzy drzewami karłowymi a krzaczastymi co do odmian niema żadnej, co zaś do sposobu hodowli różnica jest ta, iż u drzew karlowych konieczne jest nadawanie przez odpowiednie parokrotne cięcie pożądanym form i zarazem zmuszanie ich do owocowania, hodowla krzaczastych wymaga tylko przerzedzania zgęszczonych koron i odpowiedniego zasilania, co zresztą należy się każdemu drzewu, o ile jego właściciel chce z niego pożytek wyciągnąć.

Zdanie nasze co do hodowli drzew karlowych a drzew krzaczastych, jest więcej po stronie krzaczastych (o ile te będą umiejętnie obrabiane). Drzewa krzaczaste nie wymagają w cięciu szczególnych zachodów, następnie klimat nasz na cięcie drzew takie jakie bywa stosowane przy hodowli drzew owocowych formowanych, robi często w szeregach tych poważne szczyrby, krzaczaste zaś jako niepodlegające takim bolesnym operacyom, są ponieważ zabezpieczone od złych wpływów naszego klimatu.

Co zaś do pory sadzenia drzew krzaczastych, o ile te są uszlachetnione na podkładach wolno-rośnących, t. j. pigwach, słodkach, antypkach, wiosenne sadzenie będzie najodpowiedniejsze; na zwyczajnych podkładkach (które uważamy pod drzewo

karlowe za odpowiedniejsze od wolno rośnących), może być pora sadzenia na suchszych gruntach, lepsza w jesieni, od wiosennej. Odległość sadzenia nie powinna być mniejszą niż 10 lokci, co jeszcze jest zależnem od gatunku i odmiany drzew, jak również od rodzaju podkładki.

Wielkość dołów i zaprawa tychże również jest zależna od rodzaju pokładek; dla drzew szczepionych na podkładkach wolno rośnących mogą być doły mniejszych rozmiarów, jako dla mniej się zakorzeniających; dla drzew na zwykłych podkładkach powinny być doły kopane jak pod drzewa pienne.

Zaprawa zaś, czyli zasilenie nawozami, powinno być obfite.

Rady zdrowia.

Rany. Przy zranieniach główną uwagę zwrócić należy na krwotok i przede wszystkim uważać, żeby rany nie zanieczyszczono rozmaitemi środkami będącymi czasem w użyciu u ludu, jako to: pajęczyna, glina, nawozem krowim. Najlepszym środkiem tamowania krwotoku jest przyciśnięcie rany palcem, byle tylko czystym; przyciskać trzeba aż do przybycia lekarza, szczególnie jeśli przecięte są arterye, co poznać można niekiedy po tem, że krew z rany wytryska jak fontanna. Jeśli krwotok nie jest zbyt silny, często wystarcza przykładanie do rany kawałków czystego lodu lub też okłady z czystej wody studziennej, często zmieniane. Można także wziąć gumy arabskiej i alunu 2 łyżeczki od kawy, utrzeć na proszek i zasypywać krwawiące miejsce. Wstrzymuje także krwotok nalewka spirytusowa na pączki brzozy lub dębowe; jeżeli tylko zraniony jest palec, moczyć go trzeba w tej wodce; jeżeli rana jest na większej przestrzeni, kłaść zmoczone okłady. Przy małych skaleczeniach (nożem, brzytwą, scyzorykiem), po zatamowaniu krwi, miejsce rozerwane ściska się ku sobie i zalepia plasterkiem angielskim. Gdy brzegi na-

brzękną lub zaognią się, to kłaść kataplamy odmiękczejące, moczyć w rumianku, odmywać odwarem chinu, jeżeli ranka ropieje. Leczenie ran nie jest rzeczą tak łatwą, gdyż najczęściej przychodzą komplikacje, jako to gorączka, róża, przejście ropnia w krew; wtedy wezwać lekarza.

Rozmaitości.

O gościnności naszych przodków. Zbyt dużą byłoby rzeczą wykładać, jakie zmiany czas i wykształcenie spowodowały w trybie życia naszego narodu. Hojność i gościnność była zawsze zasadą wszystkich uczt i biesiad, a chociaż czasami dochodziła do przesady, to jednak nie chcielibyśmy jej zamienić na oziębłość i skąpstwo ludów germańskich.

U najuboższych i najbiedniejszych, u kmiotka i pana, stół zawsze był nakryty obrusem, dywanem, stała na nim fłaszka z napojem i kubek lub czarka, leżał chleb i sól, ażeby nim gościa powitać. Ztąd obyczaj powszechny w całej słowiańszczyźnie przyjmowania gości w progu siał; stąd grzeczność i uprzejmość w przyjęciu, stwierdzona dawnem przysłowiem:

Czapka, papka i solą
Ludzie ludzi niewołą.

Ztąd wypływały owe prośby i przymuszania do jadła i napoju w domach szlacheckich, nalegania i pewna wątpliwość, że musi być niesmaczna potrawa, skoro jej gość pożywać nie raczy, zapewnienia, że ręką samej gospodyni lub córki domu była przyprawiona. Przechowywało się to jeszcze poniekąd i u nas i u pobratymczych nam ludów.

Obyczajem było powszechnym niegdyś że w podróży nie do karczmy, nie do zajazdnych domów, lecz wprost udawano się do dworu znajomego czy nieznanego ziemianina lub proboszcza, z którym wnet tworzyła się poufalskość i każdy nie za natręctwo to uważał, lecz jak wyświadczoną sobie łaskę cenil i przyjmował najmilej.

Stąd też powszechnym było zwyczajem zestawienie kilku miejsc próżnych u stołu dla panów Zagórskich, czyli obcych, mogących jeszcze przybyć „z za gór“.

O którejkolwiek wreszcie porze przybyłeś do domu szlacheckiego, zawsze zostaleś uraczony: czekała z obiadu zostawiona najlepsza część, a przynajmniej choć jedna lub druga potrawa i w spiżarni coś przygotowanego znalazło się pod ręką, a w rychłym zestawieniu pokarmu dla gości malował się porządek domu, wprawa i pospiech sług, dobroć gospodarza i gośpodyni.

Dawni Polacy — jak to nam podaje Górnicki — nie chcieli siadać u jednego stołu z tymi, którzy okazali się niedbalymi o sławę swoją. Przed kłamcami obrus krajano; tak była na względzie uczciwość i tyle ją ceniono.

Jeżeli czyj dom był tak szczęśliwy, że monarchę swego przyjmował, krzesło jego złociste stało pod baldachimem, a gospodarz sam służył u stołu.

Główną cechą uczt pierwiastkowo była prostota, która dotrwała mniej więcej aż do końca panowania Zygmunta III. Później nastał coraz bardziej wygórowany zbytek, a od wstąpienia na tron Stanisława Augusta — pewna wytrworność i wyszukaność. Zasadą jednak sposobu życia Polaków zawsze była gościnność. Polak nie lubi sam jeść, czy to u codziennego stołu, czy kiedy ma coś lepszego, więc też rad niezmiernie gościowi.

To samo można zauważyć i w niższych stanach: gdy kto zabije wieprza, upoluje cokolwiek zwierzyny, ryb ułowi lub ma jakąś nowalijkę, wnet zaprasza na nią, albo rozsyła i jemu podobną wypłacają się grzecznością. A nie czyni tego nasz ziomek ani dla ujęcia sobie kogoś, ani dla innych jakichkolwiek widoków: z mlekiem wysłał on tę gościnność, od lat najmłodszych w domu rodzicielskim i wszędzie widział jej wzory.

W sposobie raczenia Polak bywa zawsze uprzejmy, otwarty, szczerzy, a kogo do stołu wzywa, temu i przyjacielem jest zarazem. Nie leży to w naszym charakte-

rze, aby jak Niemiec, zaprosiwszy kogoś do restauracyi, zapłacić tylko za siebie, a od zaproszonego równej wymagać opłaty.

Te cechy charakteru i płynącej ztąd gościnności z chlubą naszym przodkom przyznać możemy i szkoda byłaby doprawdy, abyśmy zbyt pod tym względem od nich wyrodzić się mieli.

Fraszki.

Szczęście w nieszczęściu. Woźnica państwa baronów, który zawsze woził ich piękną kareta, nagle zachorował, ale że państwo koniecznie musieli zdążyć na pociąg kolejowy, najeli więc na jego miejsce wieśniaka, który dotąd jeździł tylko chłopską furą. Więc też przez brak zręczności nowego furmana, kareta przewróciła się w środku miasta. Państwo przestraszyli się nagniewali, nagrozili, a woźnica wysłuchawszy wszystkiego w milczeniu, rzekł wreszcie: — Przecie to szczęście, że wywróciły się osoby a nie pakunki. — Pan baron oburzony pyta: — Jak śmiesz nazywać szczęściem taki okropny wypadek? — To całkiem słusznie panie baronie: gdyby się były wysypały worki ze zbożem albo drzewo rąbane, musiałbym je zbierać i wkladać na powrót, a osoby przecie o własnych siłach się podnoszą i wsiadają same bez pomocy.

Odwet. Pewien oficer przechadzał się z księdzem. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie stała stara zniszczona szubienica, ujrzeni przy niej stado krzyczących kruków. Oficer żartem rzekł: — Patrz księżo, jak te ptaki cię witają, w nadziei jakiegoś łupu. — Ksiądz na to: — Tak, zdaje się, iż się cieszą myśląc, że pana przeprowadzam pod szubienicę, aby z pana miały wicherz.

Niema się czego bać. — Przejdźmy na drugą stronę ulicy, bo tą stroną idzie Karol, któremu winien jestem 15 koron. Nie

chcę go spotkać. — Nie bój się przyjacielu, on sam przejdzie na tamtą stronę, bo mnie winien 50 koron.

Znak pewny. — Jak się miewasz, mój wuju? — Daleko zdrowszy już jestem. — Po czem to poznajesz wuju? — Po smutnych minach tych ludzi, co spodziewają się po mnie dziedzictwa.

Na wystawie broni wojennej. W jednej sali człowiek oprowadzający gości, objaśnia: — Oto pancierz, który się opiera pociskom najpotężniejszego działa. W drugiej sali inny mówi jednocześnie: Oto dział, które przebija najmocniejszy pancierz.

Chytrość kota. Nauczyciel: — Daj mi przykład chytrości kota. — Staś: — W potrawach dawanych w restauracyi, kot nieraz udaje zająca.

Zagadka.

Czyli żyjesz w trudach, czy dogadzasz
[ciału,
Codziennie się zbliżasz do mnie, choć po-
[mału.
Odgadniesz mię łatwo; a powiem zara-
[zem,
Że bez pierwszej głoski będę ja rozkazem.
Gdy mię leń usłucha, wyteży swe siły
I skutek posłuchu stanie mu się miły.

Znaczenie zagadki

z nru 2. „Niewiasty“:

„Piłka“.

Rozwiązanie tejże nadesłali:

Jan Mickiewicz z Kołpca, syn Stanisława
i Helena Holeksówna z Rzeszowa.